

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 80.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 25 marca 1861.
6 kwietnia

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Jan Jędrzej Morsztyn (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wódz polski, poeta. — Co uniem nakreślić, poeta (z drzeworytem). — Teatr Stanisława Skarbka (z dwoma drzeworytami). — Szlachcic Halota, obrazek obyczajowy (dalszy ciąg). — Do Matki Boskiej, poeta. — Korrespondencya od redakcyi. — Przypych mieszczan krakowskich i zwyczaj Polaków w połowie XVI wieku. — Kościół po-benoński w Piotrkowicach (z drzeworytem). — Szachy i Rebus.

Jan Jędrzej Morsztyn,

w. podskarbi koronny.

W historii, jak i w literaturze, przychodzą okresy całkiem ciemne, lub tylko z jednej oświeczone strony; zdarzenia i figury nieraz ważnego wpływu, przesuwały się w tym mroku, podobnie cieniem padającym od posągów, kiedy je oślni blask pochodni.

Z takich to niewyraźnych sylwetkowych rysów składają się materiały, z których dopiero późniejszy dziejopis publicznego i umysłowego życia narodu odgadywać musi organiczną całość, wyszukiwać sprężyny, wiązać wypadki, działającym osobom przywracać wyraźny ich charakter, potępiać lub uniewinniać.

Praca ta spada całym ciężarem na barki takich epok jak nasza, co żyjąc mniej życiem czynu, a więcej refleksyjnym, mają większą sposobność zastanawiać się, porównywać, oceniać, uzupełniać każde z tych zjawisk, co choć dokonało swego zawodu dziejowego, jeszcze przeciąga się w terażniejszość, bądź wyobrażeniem jakim w setnej swojej przemianie, bądź utworem czucia i wyobraźni, który potrzebuje tylko odświeżenia, oddmuchięcia z pyłu, aby mu obywatelstwo przywrócić.

Bez takich cząstkowych prac nad historycznymi momentami, osobami, prawami, instytucjami, bez monografij osobnych gałęzi naukowych i sztuk pięknych, bez oceny pojedynczych pisarzy w stosunku do czasu w którym żyli i tworzyli: — niepodobniestwem byłoby przyjść do dziejów narodu w kompletnym ich organizmie, i do dziejów piśmiennictwa ogarniających we-



JAN JĘDRZEJ MORSZTYN. (Rys. Polkowski, ryt. Styfi w Warszawie.)

wnętrzną i zewnętrzną doniosłość czynności umysłowej.

Wyższą do podobnych zajęć podbudką, jest chęć odszukania prawdy, o ile być może najmniej skazonej uprzedzeniem wieku, a niekiedy uczciwie upomnienie się za człowiekiem niesłusznie osądzonym za życia i na wiarę społecznych potwarzanych przez późniejszą potomność. Ostatnie dwa wieki historii naszej, pisaniej bądź pod naciśnięciem namiętności publicznych, rozkoszów, zrywanych sejmów, zatargów różnowierznych, intryg facyjnych, wojen domowych, konfederackich związków, bądź naciąganej do nowszych widoków, bądź wręcz układanej na wiarę tego co było drukowane, bez krytycznego roztrząśnienia, wymaga nieodzownie nowych studyów, nowego zestawienia przyczyn i skutków, a nade wszystko ukazania zdarzeń i osób we właściwym świetle, wszystko przywrócenia im rysów wyrazistych jak te, co się kryły często-kroć pod jakim stereotypowym ogólnikiem.

Dowiedziona to prawda, że trzeba z niedowierzaniem przyjmować zdania społecznych pamiętników o zdarzeniach i ludziach mających udział w sprawach publicznych, zwłaszcza pod panowaniem późniejszych Piastów i Wazów. Stwierdzenie tej prawdy znajduję w zdaniu znakomitego naszego statysty, (Jabłonowskiego) co na wskroś znał swój naród, a żył w latach blizkich meża stanu i niepospolitego poety, którego żywot zamierzylem opowiedzieć. Jakoż mówi on w dziele swoim *Skruput bez skruputu* te godne pamięci wyrazy: „Przeżyłem lat pięćdziesiąt, żaden za żywota nie był dobry w Polsce, aż po śmierci cnota ich pokazywać się poczęła, i żal dopiero wznieciła ze straty tych wielkich ludzi. Nigdzie też lepiej nie prawdzi się więsz Horacyusza jako u nas: *virtutem incolumem odimus, sublatam ex oculis quaerimus invidi*. Cnoty gdy żyje, to jej nie kochamy, gdy z oczu zniknie, zazdrośnie szukamy.“ Zdanie to niezmiernieby podkopało wiaro-

godność pism ówczesnych, gdyby znowu nie ta uwaga, że jak byli zajadli przeciwnicy, tak i stronnicy zapalenia, a nade wszystko tu i owdzie bezstronny miłośnik prawdy, do czego dodawszy ślad pozostawiony w czynach lub pismach po głosnym w narodzie człowieku, z materyałów podobnych jeśli nie całkiem uda się wskrzesić osobę historyczną, to przynajmniej zrozumieć jej zawód i cel jaki sobie wytknęła: czy zwalczyła przeciwności, czy im uległa; czy myśl jej, padła na grunt nieurodzajny, nie wydała, czy też długimi odzywała się tętnem między potomnymi; czy wreszcie natchnienie ożywające pióro jej, w chwilach wolnych od zajęć publicznych, zatrzymało świeżość uczuć i barw jeszcze i dla nas, i jakie miejsce zajmując powinna w dziejach naszej literatury, w których, choć często pokazują się szerokie przerwy, wskazujące na jałowość pewnych chwil upadku, niemniej jednak trafiły się umysły wybrańsze, czujące, myślące i produkujące, lecz, jak się łatwo przekonać z nowszych poszukiwań, kryjące się ze swemi płody, bo zleniwiła i stępiła współczesność byłaby im odpłaciła—obojętnością.

Jan Jędrzej Morsztyn na Raciborsku i Radzyminie, którego żywot przedsięwziętem napisać, pochodził ze znamienitego rodu, używał wysokiego stopnia samego klejnotu co dom Tarnowskich; był on jednakże przyrodnym, zapewne w czasach Kazimierza W., tak gościnnym dla cudzoziemców i tak przyswajającym, że się duszą i ciałem stawali obywatelami kraju, wywdzięczając się za to pracowitością, przemyśleniem, nauką. Dom ten licznie się rozdzielił w województwie krakowskim i sandomierskim, piastował wysokie urzędy w rzeczypospolitej, posiadał wielkie imiona i wydawał niepospolitych ludzi do rady, miecza i pióra. Szczególniej w ostatnim zawodzie w ciągu jednego wieku trzech Morsztynów trzyma przodek w poezji: Hieronim, Jędrzej i Stanisław (*), a co osobliwsza, wszyscy trzej są przedstawicielami nowej poetycznej epoki, różni już od epoki Reja i Kochanowskiego, bo więcej zbliżonej duchem do uczuciowego indywidualizmu, a nade wszystko swobodniejszej w formie i mniej szukającej natchnienia w ksiązkach, a więcej w życiu. O roku i miejscu urodzenia się Jędrzeja, niepodobna było znaleźć, można tylko z porównania innych lat domyślać się, że się urodził przed 1620 rokiem, z ojca Jędrzeja, starosty bolnickiego. W pięknym bowiem wierszu do Waleryana Otwinowskiego, podczaszego sandomierskiego, prosi aby mu przysłał przekład przemian Owidiusza:

a gdy twoja ona
Księga z prasy wynijdzie, piérwój od Nasona
Po rzymku napisana, a w sarmacką zbroję
Od ciebie ustrojona, niech w tém łaskę twoję
Uznam przeciwko sobie; przyslij mi ją, żeby
I tam sława spłynęła twa, póki pod niebry
Okręł wiatrem pędzony pobieży i póki
Żeglarz strachać się będzie scyllijskiej opoki.

Otwinowski, który go *wnukiem drogim* nazywa, odpowiada również przesłicznym rymem:

Naso mój jeszcze w cieniu, lecz już w swym niewczasie,
Narzeka na srogiego rzemieślnika w prasie.
Skoro mi jednak Bóg da ztamtąd się wyprawić,
Nie mieszka i do Belgów za tobą się stawić.

Gdy zaś przekład przemian Owidiuszowych wyszedł w roku 1638 w Krakowie u Piotrowszczyka, można przypuścić że Jędrzej najmniej mógł liczyć lat dwadzieścia, kiedy się wybierał w zagraniczną podróż do Belgii, a ztamtąd do Neapolu i Sycylii; jak to z powyższych wierszy przegląda.

Zresztą jedyny to szczegół rzucający jakiegokolwiek światło na jego pierwszą młodość, do którego dodam, że skłonność do poezji, a zapewne i kształcenie się na dobrych wzorach starożytnych, winien był dziadkowi swemu, Waleryanowi Otwinowskiemu, który mistrzował mu w nauce, z tém przywiązaniem dziadowskiem, tak wiernie oddanem w tych wierszach:

Bądź mię jednak zastaniesz umarłym, bądź żywym,
Nie znajdziesz jedno żem ci jest lub był życzliwym,
I rzeczesz kiedyś po mym przechodząc się grobie:
Miałem ja przyjacielem tego czeka sobie.
Jakoż ja tēm i teraz to pismo zawieram,
Że niewątpliwie twoim żyję i umieram.

Zapewne po odbytych naukowych podróżach przez Niemcy, Belgię, Francję i Włochy, których ślady pozostały w urywkowych wzmiankach jego muzy, a mianowicie w tēj różnorodności przedmiotów naszemu krajowi obcych, a wtrąconych z łatwością i trafnością świadcząca że je widział własnymi oczyma, dostał się Morsztyn Jędrzej na dwór Władysława IV, między tē młodzież dworską, zaszczyconą wyborem króla umie-

(*) Drukowane w Poznaniu poezje Zbigniewa Morsztyna, są lirykami Andrzeja, jak to przekonać się można z rękopisu znajdującego się w bibliotece Ossolińskich, którego używałem do tēj pracy. Przypadkowo napisane imię Zbigniewa Morsztyna na rękopisie, z którego robiono edycję poznańską, było powodem do stworzenia tego poety, który nie istniał.

jącego wybierać i forytować najdoskonalsze głowy. Tutaj w liczbie dworzan często wspomnianych w jego wierszach, jak: Szumowski, Szmeling, Potocki, Przeczkowski, znalazł Jana Grotkowskiego, z którym nietylko łączyło go koleżeństwo, ale i ten pociąg dwóch wyższych umysłów, co gorejąc dla boskiej poezji, we wzajemnych zwierzeniach się z wrażeń, spostrzeżeń i uniesień doznanych w życiu lub przy spólnie czytanej książce, czerpiąc natchnienie, zapalił tē potrzebę tworzenia, która w młodzieńczym gronie podsyca się i utrzymuje zamianą uczuć i wyobrażeń.

Stosunek w jakim Morsztyn znalazł się do Grotkowskiego, starszego zapewne wiekiem, nauką i doświadczeniem, krom koleżeńskiej zażyłości i prostej sympatii, miał jeszcze charakter owego uwielbienia, jakie adept miéwać zwykł dla mistrza, którego wyższość uznaje, powadze wierzy, ale zarazem nie traci i wiary w siebie, że kiedyś dla kogoś sam będzie takim mistrzem. Najpodobniej że do tych pojęć jakie mu dał dziad Otwinowski, do tych nabytków zdobytych w podróżach po cudzych krajach, Grotkowski musiał ostatnią rękę przyłożyć, kształcąc w młodym pocięciu smak i dając mu kierunek wyższy nad te wybryki rubasznego dworskiego dowcipu, wielkiej, jak się zdaje, używającej podówczas wziętości. Wniosek mój o tēm mistrzowaniu Grotkowskiego wyprowadzam szczególniej z tonu tych rymów, jakie Morsztyn do niego pisze, a które, jak niebo do ziemi, niepodobne są do jowialnych lub tłustych conceptów dedykowanych innym dworskim przyjaciółom. Myśl w nich zawsze poważna, nastroj wyższy i głębokie natchnienie; znać że zbliżając się do poety którego tak uwielbiał, nie śmiał być rymopisem dla igraszki. To wszystko przekonywa że strata rymów Jana Grotkowskiego może się policzyć do wielkich uszczerbków dla literatury XVII wieku. Posłuchajmy co Morsztyn doń pisze, a Morsztyn nigdzie nie lubił pochlebiać nawet wielkim, więc tēm bardziej nie można go o to pomać z równym sobie:

Drwać to do lasa i do Aten sowy,
Słać ci wiersz, który u ciebie gotowy.
Aleć i Bogom, chociaż tēż nie głodni,
Choć ich nasz powiew nie zaleci spodni,
Przecie im kadzą, przecie z uniżenia
Chleby im kładną i całopalenia.
Kiedy cię niebo tak udarowało,
Że aż do zbytku nie dostaje mało,
Jeśli odrzucisz to czego masz dosyć,
Cóż ci przyjaciel ma w darze przynosić?
Choć ja nie za dar tēż posyłam wiersze,
Ale abyś je, nim się puszcze w szersze
Granice i na wyższe wstąpię szczeble,
Sam przegremplował i puścił po zgrzeble.
Bo jeśli twoje odniosę w tēm zdanie,
(A bez pochlebstwa) że tēć i mnie stanie
Wątku do piórka i tēhu do tēj sprawy,
Nie dbam o cudze przygryzki, póprawy,
Dosyć mi na twym rozsądku i śmiecie
Pić z hippokreńskiej już będę kąpiele.
Tyś u mnie piérwszy i tobie przynawam,
Że w polskim wierszu za tobą zostawam,
I tak leniwo w trop za tobą jadę,
Jak tēż po sobie pozad drugich kładę.

W innym wierszu do tegoż Grotkowskiego, posłanym mu do Neapolu, gdzie był internuncyuszem w sprawie spadków i intrat z księżtwa Bari, jeszcze dobitniej wypowiedział swe uwielbienie dla tak znakomitego poety:

Jakoż raz tylko usłyszawszy ciebie,
Zapomniał Parnas mówić po łacinie,
Muzy po polsku piszą, i ty Febie
Polski grasz tańce niebieskiej drużynie,
Zkądś tak wieki i po swym pogrzebie
Zniewolił Janie, że co toba słynie,
Dziękując że w nim twoje prace wyszły,
Przeszły z zazdrości, zdziwi się wiek przyszły.

Umyslnie zatrzymałem się na tym stosunku Morsztyna z Grotkowskim, żeby pokazać ruch tēj nowej szkoły poetycznej, wyłamującej się z dotychczasowych pęt naśladownictwa, a usiłującej się przybrać w lekkość i żywość, a mianowicie w formy nowszej poezji francuskiej i włoskiej, z którą obydwaj zaznajomili się w częstych zagranicznych podróżach. Grotkowski, wnosząc z powyższych słów uwielbienia, musiał być ojcem tēj szkoły, co rozkwitnęła na dworze królowej Ludwiki Gonzagi, gdzie grono przybyłych z nią dam francuskich, słynnych urodą, jak panna de Mailly, d'Arquien, Katarzyna Gouvelon, Bessain, Anna Schönfeld, wniosło tē galanterię, tē zalotną sentymentalność, niepraktykowaną dotąd w polskim wyższym świecie i na dworze. W poezjach Morsztyna szczególniej ta romanowość, to rozpiływanie się w pięknościach natury, charakteryzuje go i odosabia od dawniejszych, a nawet późniejszych wierszopisów; wszakże niema on tēgo ubóstwienia dla niewiasty, tēgo idealizowania uczuć, ani tēj, że się tak wyrażę, namiętności duchowej, jak to widzimy w szkole świeżego romantyzmu; u niego gra tylko prosta egzaltacja namiętniej żądzy, coś podobnego do owęj furii włoskiej, pod którą tai-

się gruby materyalizm, często obrażający delikatne a razem głębokie uczucie,—lubo z drugiej strony w rodzaju tym erotycznym, pochodzącym w prostej linii od Owidowych elegij, pokazał się prawdziwym mistrzem, jakiego w literaturze naszej drugiego poszukać. Czuję to sam, kiedy mówi:

Że mu się w wierszu trochę powodziło
Uznawa Morsztyn że to panien dzieło.

Część pieśni erotycznych, które nazwał *kanikulą*, pisał w r. 1647, z tęsknicy za zostawionym przedmiotem swojej miłości, a tym była najpewniej Katarzyna Gordon, margrabianka de Huntley, panna dworska królowej, bo imię Kasi często tu wspomiane. Zapewne rozkaz królewski zapędził go do rokowań jakich na pograniczu Moskwy,

Gdzie Psół, gdzie Worskła toczą błotne wody
I dwa słowiańskie graniczą narody.

W oddziale tym lutni Morsztynowej znajdują się tak dziwniej piękności elegie, że nietylko naszej, ale i każdej literatury mgłyby się stać ozdobą. Szczególniej jedna pod napisem: *Chłód daremny*, nietylko jest arcydziełem w swoim rodzaju ale nadto ma wszelkie cechy charakteryzujące styl i kompozycję Morsztyna. Że nie długa, przytaczam ją w całości:

W powszechnym świata znoju i spaleni,
Szukałem gdzieby głowę skłonić w cieniu.
Raz się przechodzę do bliższego gaju
I żebrzę łaski zielonego maju.
Tam mię wspomaga dąb chański cieniem
I grab twardością zrównany z kamieniem,
Piękny i jawor fladrowanej więzi,
I szkolna brzoza drobnieuchnej gałęzi,
I żyrne buki, i klon niewysoki,
I lipa, matka pachnącej patoki,
Jesion wojenny i brzość, który naszym
Krajom intraty przyczynia potaszem.
Drugi raz w gęste zapuszczam się bory,
Kędy świerk czarny rośnie w górę spory,
I modrzewina czerwi nieznaną,
I terpentyna jedlina płacząca,
I sosna wielkiej w budynkach wygody,
I kadzidłowej jałowic jagody.
Trzeci raz różnie próbując ochłody,
Chodzę po brzegach przezroczyściej wody;
Tam mam dostatnie chłody topolowe,
Olsze czerwone i wierzy domowe.
Ale cóż po tēm? Lubo ta zastłona
Schroni mój głowy od Hyperiona,
Lubo mi na czas psia gwiazda sfolguje,
Zaraz te pustki miłość opanuje.
Próżno się tēdy cieniem z wierzech chłodzę,
Gdy w sobie noszę ogień i z nim chodzę.

Młodość Morsztyna upływała na służbie pokojowej; przy boku obu królów, Władysława i Kazimierza; był bowiem, jak powiada Wespazyan Kochowski, *intimae admissionis cubicularius*. Nie była to jednakże służba tak bardzo pokojowa, aby nie robić, tylko wiercić pięta przed panem, mizdrzyć się, spijać i grać w kości lub karty; owszem, możnaby ją nazwać prawdziwą szkołą statystów, tam bowiem wkładano się do spraw publicznych, do traktowań poważniejszych, tak z postronnymi państwami, jak z kołami sejmikowymi, gdy wypadło czasem kierować niemi podług myśli dworskiej; tam wreszcie biegano się raz wraz gońcem, z listy królewskimi, po wszystkich krańcach rzeczypospolitej, z czego znowu rosła dokładna znajomość ojczystej ziemi, znajomość o jakiej nawet nie mamy dziś wyobrażenia, a jaka w kilku utworach Morsztyna przechowała się, gdzie każdy rys, każde słowo jest tak malownicze i tak ściśle charakteryzujące miejscowość, że nie można powiedzieć, tylko że zdjął je żywcem z natury. Jakże zaś drogi po kraju odbywał, do jakich poleceń był używany, zapisał to w jednym wierszu do Jana Szumowskiego, pokojowego królewskiego, gdzie zażartował sobie z tēj służby pokojowej, powiada że i teraz na nich obudwóch przypadła bieranina za granicę kraju, chociaż:

Jam już był dobrze cudzych krajów syty
I w domu każdy gościniec mi bity,
A przecież kiedy rozkaz pański tegi
Nastąpi, muszę znowu do włóczęgi.
Widział mię piérwój Opatów nasz swoim
Posłem od króla, potem z wielkim znojem
Przebyłem Węgry i na ich stolicy
Cesarskiej pokłon oddałem prawicy,
I pańskie sprawy kończąc przy tym dworze,
Niosłem królewskie listy Leonorze.
Zwodziłem potem, gdzie szła sama głowa
Ojczyzny naszej, panów do Zborowa.
Potem tēj zimy, nie żalując bicza
I ostróg, biegłem w Litwę od Łowicza,
I przeszedłem ją aż ku Dnieprowi
Wielkiemu, niosąc ordynans wodzowi.
Teraz zaś znowu wielkim obwołany
Posłem z Koroną i Siedmiogrodzany,
Mam zwiierać ligę i stwierdzać o mocy,
Co ma sił i co wierności Rakocy.
Przyjdzie go szukać gdzie między Multany,
A snadź i śnieżne przechodzić Balkany.

Ależ to ledwo początek dyplomatycznego zawodu—Później niema prawie traktowań znaczniejszych, a czę-

je w tej oto sali trybunalskiej, i widzi marszałka oraz deputatów, czyli sędziów, miejsca zajęte, ale przez osoby jemu nieznanym.

„Marszałek ogłasza iż sędzić się będzie registr faktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi plenipotenta wdowy. Jakież było zadziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc wprowadzenie tej sprawy, ze wszystkimi okolicznościami zaprzędajności plenipotenta wdowy i wydania oryginalnych dokumentów na zbugę pryncypalki. Po wysłuchaniu tej sprawy, marszałek, w kilku słowach, ogłasza dekret skazujący na śmierć plenipotenta wdowy, i natychmiast każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę ziemskiego pisarza żytomierskiego. Słyszysz Kurdwanowski, choć we śnie, lecz silnie przerażony, jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonozłotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak powydziarał i pofalszował akta, a marszałek równie krótkości dekret jak poprzedzający ogłosił, pisarza ziemskiego podobnie na śmierć skazując. Słyszysz znow Kurdwanowski, że z kolei czyta regent dwa następne wpisy: urodzonego Kurdwanowskiego i jego plenipotenta. Marszałek oba wpisy łączy i każe wprowadzić sprawę. Tu słyszysz Kurdwanowski instygatora tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak że aż mrowie po nim przechodziło: iż trybunał, skazawszy na śmierć plenipotenta wdowy i pisarza ziemskiego, nie może mniejszej kary naznaczyć plenipotentowi Kurdwanowskiego, co był główną sprężyną całej tej zbrodniczej machinacji, a cóż dopiero samemu Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi, jako istny szatan, tych wszystkich łapigroszów skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku, on, co sam będąc z starożytnego szlacheckiego rodu, powinienby swoim przykładem innych do cnoty zagrzewać, zamiast wiązać się z wychrztałami i ludźmi bez sumienia, aby biedną wdowę, prawdziwą jak on szlachciankę, i troje sierot zgubić. Jakąż byłaby sprawiedliwość najjaśniejszego trybunału, wołał kończąc rzecz instygator, gdyby takowa podła czynność płazem poszła panu Kurdwanowskiemu, i gdyby ten, co największą korzyść z zbrodni otrzymał, sam jeden wolnym był od kary! Po skończonym indukcie, nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedział, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: „Odkładam sessją do Wielkiejnoy!” i silnie stuknął laską, aż się Kurdwanowski przebudził. Zmęczony tak dziwnym i tak przykrym snem, przygotowywał się do dalszej drogi z odrazą i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego diabeł przeciw Panu Bogu patronować i wmawiać mu: że sen mara, że o tém myślał, więc się to i przysniło; że raz sprawę zaczawszy, ambicya każe ją kończyć; że kto przekupuje, ten przecie za łeb nie bierze; że więc ci co zaprzędali sumienie, niech sami myślą o sobie, a on w czémże tak bardzo wykroczył, on co nawet okazał sumienie dość delikatne, kiedy nie on sam, ale jego umocowany zaprzęsił komportacją dokumentów; że nakoniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, to on może znaleźć sposobność i wdowę wynagrodzić, tak jakoś do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy, zaczął chodzić około swojej sprawy i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami, gdy plenipotent processowanej wdowy wioził pana pisarza żytomierskiego na jakąś kadencją, most się pod nimi zawalił, i plenipotenta wdowy wyciągnięto z pod mostu bez duszy, a zaś pisarz ziemski w kilkanaście godzin po tym przypadku skołał. Dopieroż pan Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę, i nie tylko zakwitował wdowę ze wszelkich pretensyj do jej majątku, lecz z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie z jego przyczyny poniosła, i klęcząc przed nią w obliczu wielu obecnych, prosił aby mu odpuszczyła, i istotnie wszelkiego odtań pieniactwa zaprzęstał. Słowa we śnie słyszane: „Odkładam sessją do Wielkiejnoy!” utkwily mu tak w głowie, iż mu się zdawało, że w czasie Wielkiejnoy koniecznie umrzeć musi. Corocznie więc, przez cały wielki post, gotował się na śmierć, ściśle się obliczając ze swem sumieniem, i w istocie umarł w czasie świąt wielkanocnych, w wieku już podeszłym, a śmierć jego może i nie była tak ciężka, bo się do niej przeszło lat 30 gotował...”

— O! mój Boże! mój miły Boże! jakżeś dziwnie służby sług Twoich rozporządził, zawołał pan Hołota, ucinając nagle swoje opowiadanie i ręką uderzając się w czoło. Tyleć razy tutaj się było, tyle godzin z drugimi i sam na sam spędziło, a wyjść jakoś nie można. Istnieć jakby co ciągnęło, a trzymało człeka za polę. Ciągnie! Trzyma. Dalibóg ciągnie! trzyma! Precz mara! — I splunął pan Hołota trzy razy. Przecież pamię-

tać trzeba, że tu nie dla siebie i nie sam tylko przyszedłem. Przepraszam stokroć miłego pana, przepraszam za moje zapomnienie.

— Ależ proszę wcale nie zważać na mnie, rzekłem. Mnie tu dobrze, bardzo dobrze, i miłe mi wielce opowiadanie pana Hołoty.

— Miłe! wielce miłe! tak pan powiada. To dobrze! bardzo dobrze! Ale ja nie dzisiaj. I ja, mociumpanie, byłem też kiedyś młody, więc wiem co młoda natura. *Varietas delectat!* rozmaitość bawi! Bij a nie nudź! Czas drogi! A czas droższy młodemu jak staremu, bo stary wiele widział, więc mu niewiele do widzenia. A też i po drodze któż zakaze gawędzić staremu? Więc chodźmy, wychodźmy! (D. c. nast.)

DO MATKI BOSKIEJ.

Na początku było Słowo....
A Słowo idące z Boga,
W czystość ciała liliową
Przyjęła panna uboga
Przez świętego Ducha wiew.
Gdy nad schyloną w pokorze
Brzmiały wszystkie chóry Boże
Wszechpochwalny Panu śpiew —
Niebo całe, ziemia cała
W jedną wielką pieśń się złała,
Drzeniem twory przebiegł cud.
Przez to jedno Boże technienie
Rozjaśniło się stworzenie
Na wschodzącej prawdy wschód.

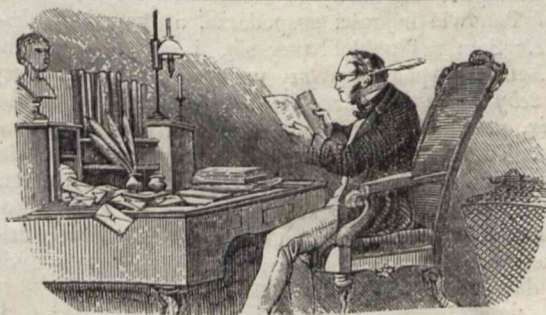
I co dla świata było tajemnicą,
Aniolum pieśnią, a szatanom trwoga,
Tobie się stało pod strzechą uboga,
O Przenajświętsza dziewico!
Tobie klęczącej w obliczu obłoka,
Przepowiedzianej prorocstwem proroka,
Poczętej w Bogu gdy poczynął świat;
Któręj oblicze rozświetlił w jutrzence,
Na ziemi rozwił twe kształty panience
W srebrzystej lilii kwiat.

O Maryo! Maryo! jakoś wielce zbożna,
Przez twe poczęcie, przez niepokalane,
Nie patrz na ziemię naszą jako zdrożna,
Ale racz spojrzeć na ranę!...
Jakże głęboka, otwarta szeroko,
Jak z niej ostatnie włókna krwi się wloką,
Ostatni z piersi dobywa się dech!
A ludy.... lody, a pany.... kamienie,
Pamięć stracona, zatyle sumienie,
Niemiłosierdzie i śmiech!

O Panno! Panno! jakieś łaski pełna,
Spójrz jak baranka potargana wełna,
Żalozne jęki i rzeź;
W obliczu nieba zagniewanej twarzy,
Nad strasznie smutną krainą cmentarzy
Oczy błagalne wznies.

Spraw, Maryo! niechaj jako w wieków dali,
Na poświęconej blask nosimy stali,
Przed nadechodzącą nieszczęść nawalnica;
I niechaj kościół, gdy świat się zachwieje,
Z bark twój skrzydlatej wiary promienieje,
Bogarodzico!

T. Lenartowicz.



Od dwuletniej Antosi z Petersburga nadesłano nam zł. 20 na składkę dla rodzin po poległych i rannych w d. 27 lutego. Na tenże cel z parafii Zegrze zł. 179 gr. 9, oraz dwie spinki złote, emaliowane.

Na pomnik ś. p. Dominika Szulca otrzymaliśmy od R. K. D. rs. 15—od T. z J. K. D. rs. 25—od S. S. rs. 6—od D. K. D. rs. 3—i od T. K. D. rs. 4.

W 76 Numerze Tygodnika ogłosiliśmy dawniejsze składki na tenże cel w summie rs. 44; dziś więc summa ta zwiększa się do rsr. 74.

Od Pe. D. ze Zwierzynca otrzymaliśmy dukat w złocie (pamiątkę po jedynym dziecku) dla kościoła w Sulisławicach.

Panu Nielubow z Błonia. Zapomnianą zapewne paczkę, pozostawioną chwilowo w kantorze Tygodnika Ilustrowanego, racz Pan odebrać, lub upoważnić do odbioru osobę, któraby rzecz pozostawioną opisać umiała.

Panu M. S. w pow. wilkomierskim. Odnieśliśmy wyrazy pańskie do Hartknocha, bo z listu tak domyślać się należało; gdy jednak obecnie dajesz nam pan przeciwnie zapewnienie, chętnie i my przypuszczenie nasze cofamy.

Przepych mieszczan krakowskich i zwyczaje Polaków w połowie XVI wieku (z rękopisu).

Mikołaj Pszonka, dworzanin hetmana Tarnowskiego, opisuje żonie swojej święcone mieszczanina krakowskiego.

Nie potrafię wypowiedzieć, ani dać obrazu waszcei, sercem najukochańsza Salusiu, jaki tu rozgardyasz panuje podczas świąt wielkanocnych Zmartwychwstania Pańskiego. A toż to nic nie widziałech i nie słyszałych podobnego w naszych stronach. Tu mieszczanin może nabuczyć się jak pan wojewoda, bo ma też w co. Wnijdziesz do komnaty, a to jakoby do skarbcu. Na ścianach bogate obicia, szafy napelnione misami, krużami, puharami, srebrnymi czarami, aże ślepią ci oko. Sama gosposia w zausznicach od rubinów, brylantów: perły na szyi jak groch największy, a tego nie para, ale pięć, ośm drugdy sznurków, a jedna w drugą jak ła. Nie będę waszcei opisywał onych szat jedwabnych, bo sama, przy pomocy Boskiej, masz też takż na siebie co wdzić. Dziewki, przyznam się sumiennie waszcei, gdyby Dyanny chędogie, a prześliznie jedna nade drugą. Sami mieszczanie bogaci, najwięcej chodzą czarno. Oj gdybyś waszcei zobaczywała szpink! szpink! u szyje tych Krezusów! a toż to, Pannie odpuść, diabeł im pieniędzy na to dodawać musi. Ano też oni handle prowadzą z połową świata. Nie dziw: a za to mało niesie!

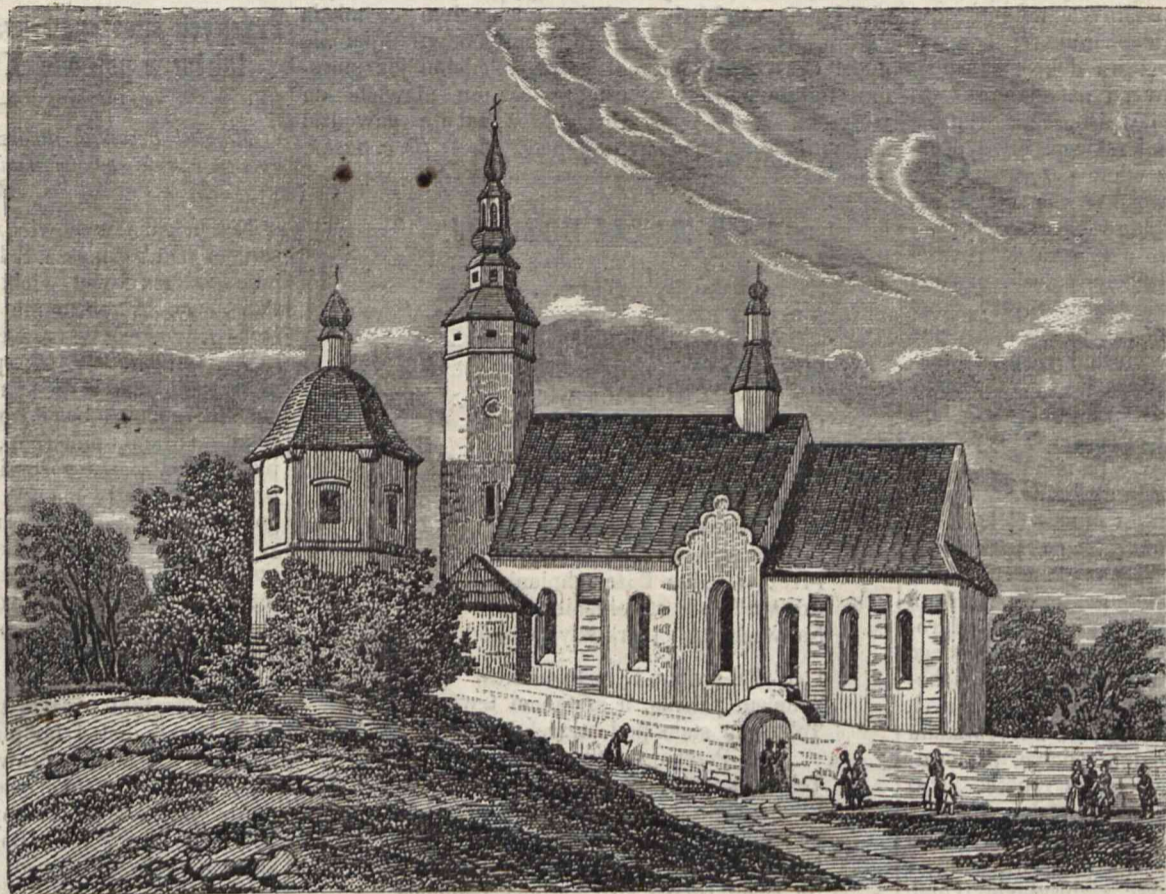
Ale już czas wielki abych waszcei opisał, bo ci to będzie miłe czytanie, a Bogiem się sumituję, że wszystko prawda szczerza, com widział i pożywał na święconem u imci pana Mikołaja Chroberskiego, rajcy, mieszczanina uczciwego prawdziwie, ba i wielce tu znaczącego, bo nawet u króla imci nieosobliwość mu widzianym być. Zaprosił on tedy na święcone imci pana hetmana, naszego pana pryncypała, z nami dworzany kilkoma, prosto z wotywy w kościele N. Panny Maryi, gdzie miłościwy pan, najjaśniejszy król, z prześlizną królową swoją Basią (tak jej zawždy mówi), z całym dworem i przedniejszemi pany pobożnie w dzień poniedziałkowy znajdował się, a celebrował mszą ś. ksiądz Petrycy, wielki jak slych faworyt Najmiłościwszego Pana. Jak się tedy szczęśliwie przybożem błogosławieństwem zakończyła msza ś., pojechał nasz jaśnie wielmożny w swojej karocy, a my za nim na koń, prosto przed dom imci pana Chroberskiego na ulice *Bracką*. Weszlimy do wielkiej izby, tuż przy boku pańskim, bo też dziwnie tego dnia pełny był łaskawości i dobroci; boć niezawždy mu to trafia się; ale też kiedy już dobry, tobyś go wasze z anioły posadziła. W progach witany od imci pani Chroberskiej, prześlizny zrobił jej affekt, a córę ich, rozkwitającą jakoby pączek róży, imci pannę Agnieszkę, najmiłszą pocałował w czoło, zaraz pokręcił węża, i błysnął na nią okiem. Anoli odwarły się drugie drzwi dębowe i perłową macią i hebanem wykładane, aż tam ja oczy zgubił, choć mi nie nowina bogactwa widzieć, ale też to było u mieszczanina i zech nie wiedział jeszcze co to Kraków. Otóż, gdybyś waszcei patrzyła, stół okrągły na środku wielki dębowy, żeby stu ludzi około niego wygodnie siadło i jadło. Obrus jeden na nim wielki, ale w krzyż zeszywany, tak że ledwie się wpatrując bardzo, poznać to. Bo to na nim co tu powiadam, bom sobie dobrze każdą rzecz na pamięć brał, abych waszcei rzetelną relacją zdać mógł. Na sześciu misach srebrnych roboty wspaniałej, były mięsiwa wędzone wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrągłych, kielbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru kokosowego, ciemnawego, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. Mięsiwo miało cudną powłokę z tuszczu w różową barwę wpadającą. Pomiędzy temi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncyusz Pilat wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometowi, a wiadomo że Żydz i Turek nie jedzą wieprzowego, więc to na nich epigramma było pocieszne. Na samym środku stołu, stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki; ale jabych za cały stół rad był wziął jemu oczy. A wszakoż to były dwa brylanty jak laskowe orzechy, w czarnej oprawie, *alias* pierścienie ukryte w masle, których tylko tyle widać było, ile było potrzeba na okazanie oczu. Tego baranka, na

którym wena masłana nie do poznania była od prawdziwej, robiła sama imci panna Agnieszka z rodzicem swoim. Pan hetman długo mu się przypatrował; ale co tam u niego znaczą brylanty, kiedy sam ich ma pełną rękojęść u karabeli. Tylko go robota cieszyła, że mało jadł, tylko weni patrzył i na imci pannie Agnieszce. Stary kilka razy poprawił karabelę, co znaczy u nas, że kontent i pełen affektu. Dalej tedy stały bańki srebrne wyzłacane z octem, oliwą i cztery kruże wielkie starego miodu, na tacach srebrnych wyzłacanych, obstawione czarami także. Dalej srebrne lódeczki z konfektami wszelakich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał, a to wszystko smażone przez imci pannę Agnieszkę na jesieni; bo to śliczne pieścidelko podobne jest do pszczołeczki, co zawczasu opatruje się na wszelkie przygody. Stało też wino w gąsiorkach, prawdą szklanych, ale te gąsiorki stały w koszykach srebrnych wyzłacanych, a główki miały srubowane w zawoje srebrne, a szkło białe jak śnieg i gładkiej bardzo roboty.

Pomijam inne drobniejsze rzeczy; a za już czas przystąpić do najważniejszych, które i wasze, Saluniu, nie-mało sobie lubujesz, to jest do kołaczów, placzków, jajeczników, maczników i Bóg spamięta ich miana, tych cudaczków rozmaitych, które okrążyły jeden naj-poważniejszy kołacz. Kołacz ten był owalowy; miał cyrkumferencyi z ośm łokci, jeśli nie więcej; gruby na dwie piędzi, a jakeśmy tylko weszli do izby, to nam już zapachniał swojemi przyprawami. Po brzegach w około niego stały różne figurki: święci dwunastu apostołowie, udani jak żywo, a to wszystko z ciasta. Judasz mię bardzo zabawił. Przypominasz sobie wasze, Saluniu, owego pana Gielbutowskiego, owego to bezecnego roztrucharza, co mi za moję klacz

zrebną dawał ślepego podjezdka, a sumitował się Bogiem, że nie ma żadnego defektu i całował mię: takuteńki rudowas i szafraniec. W środku stał Zbawiciel, nasz Pan Jezus Chrystus, z chorągiewką, a nad Nim unosił się anioł na druciku od szabaśnika izdebnego nieznacznie w górze zawieszony, iże zdawało się jakoby leciał po niebie i z gęby wychodziły mu

zowego. Pan Milecki, powinował imci pana hetmana, miasto na święcone, to na pannę Agnieszkę wielki mark robił, tak jakby ją chciał zjeść. Godnie w tym naśladuje imci pana hetmana; żeby tak we wszystkim! W otwartości, szczerości i affekcie staropolskim odbyliśmy tę, na chwałę Opatrzności Pana Boga, katolicką biesiadę. Każdy pożył co chciał, nikt nie zalał, ale przy wesoleń *Alleluja* rozeszliśmy się i dosiadłszy koń w imię Boże ruszyliśmy na zamek, gdzie była radość z Zmartwychwstania Pańskiego. Wszyscy dworzanie j. k. mości i panów pospołu w dolnych izbach pili, jedli, a pamiętając na uroczystość święta Bożego, zbytku strzegli.



KOŚCIÓŁ PO-BENOŃSKI W PIOTRKOWICACH. (Cynkotyp Lewickiego.)

KOŚCIÓŁ PO-BENOŃSKI W PIOTRKOWICACH.

Kościół którego wizerunek przedstawiamy, spłonął od ognia przed dziesięciu laty, i dziś, bez dachu, same tylko mury z niego sterczą. Załączony więc rysunek, zdjęty kiedy jeszcze kościół stał w całości, jako pamiątkę tylko tu podajemy.

Był to gmach duży, na wzgórzu stojący i zdaleka widzialny, z wysoką wieżą i bardzo pięknym Loretem czyli kaplicą. Kształt jego był dosyć osobliwy, mury z kamienia wystawione obrzucone były tynkiem, dach kryty dachówką, a wieże gontami. Fundacya jegosię

ga najwcześniej XVII wieku. Kto go atoli wznosił, niema żadnego śladu; według miejscowego podania założony został dla księży redemptorystów, niewłaściwie benonami zwanych, których zakon w r. 1833 skasowano. Ostatnim przełożonym tego klasztoru był ks. Podgórski.

Co do samych Piotrkowic, było to niegdyś miasteczko prywatne, w dzisiejszej gubernii radomskiej, w powiecie stopnickim położone, które się pod prawami miejskimi utrzymać nie mogło, i na wieś później zostało przemienione. Ze śladów dawnego stanu pozostały tam jedynie dwa kościoły, jeden po-benoński, a drugi dawniejszy parafialny, najpóźniej z XV wieku pochodzący, który odznacza się starożytną swoją postacią, zbudowany jest z miejscowego białego kamienia i obrzucony tynkiem. Szczyty ma z cegły, a zęby czyli blanki szczytowe z ciosu. Nad wchodowymi drzwiami herb Gryf na kamieniu wykuty; dach ostry, gontem pokryty, znacznie teraz jest popsuty. Wewnątrz, zamiast sklepienia, sufitowanie z desek. Ot-tarże snycerską robotą w XVI wieku wykonane. Po przeniesieniu nabożeństwa parafialnego do kościoła po-benońskiego, piękny ten kościółek podupadł i dziś na cmentarzowy jest zamieniony.

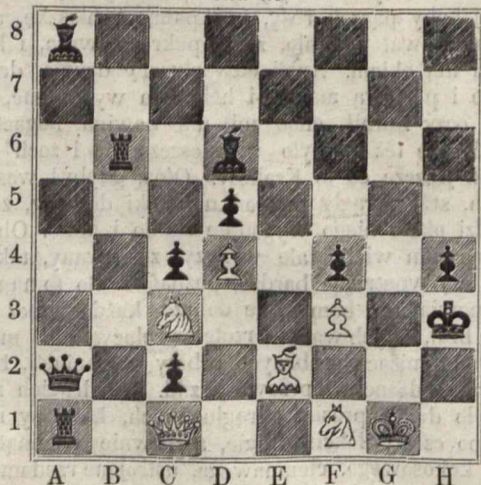
SZACHY.

ZADANIE LVIII.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 57.

Białe.

Czarne.

- 1) C 4 — A 3 1) królową gdziekolwiek
- 2) G 5 — F 5 † 2) E 6 — E 7
- 3) F 5 — E 5 biorą † i mat.

Odmiana.

- 1) C 4 — A 3 1) H 8 — G 6 biorą
- 2) G 5 — G 6 biorą † 2) E 6 — E 7
- 3) A 3 — D 6 biorą † i mat.

słowa: *Resurrexit, sicut dixit, Alleluja!* Inne placki wyobrażały różne zjawiska. Zabawiła mię kąpiel; bo to był taki jeden placek, co miał w środku sadzawkę z białego miodu i wyglądały z niej rybki i nimfy kąpiące się, a Kupid strzelał do nich z łuku, ale zamiast w serca, to im bezecnik, Panie odpuść, mierzył w *śliczne oczka*, które zasłaniały sobie od wstydu. Robota tego była bardzo sztuczna: nie podobnego nie zdarzyło mi się widzieć i u wielkich panów.

Zaczął się tedy po zmówieniu zwyczajnych modlitew pożywanie daru Bożego. Imci pan hetman bardzo, jako wyżej powiedziałem, ochozy, prosił aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego po trochu, napił się miodu. Wina nie chciał, mówiąc: *bodajmy go nie znaleźli dużo nam szkodzi ten trunek*. Zapłonął się na te słowa imci pan Chroborski, bo mu dał poznać, że zbytek nie chluba dla nas, a i sprawiedliwie. Potem imci pan hetman podał święconego jajka każdemu, zaczawszy bez ogródki od imci panny Agnieszki, która się także zaczerwieniła, i podziękę skromną zrobiwszy, zjadła. My, jak się wasze dorozumiesz, czekaliśmy z wielką estymą, aż imci pan hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej do stołu, co też nastąpiło; bo niedługo rzekł: „Używajcie Waszmość Panowie hojności gospodarza, a skromnie i *honeste*.” Sam zaś pokłoniwszy się, i znowu imci pannie Agnieszkę pocałowawszy w czoło, i powiedziawszy jej: *żeby swoje wdzięczne lica ukrywała przed królem imcią, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek*. Tu my dopiero zaczęliśmy repetować, co daj Boże. Miód i kołacz najgorzej trzeszczał. Zapomniałem waszeci powiedzieć, że w nim było séra ze trzy kamienie, miodu tyleż, innych przypraw nie liczę, dziwnie smaczny. Pan Śniatycki tak jadł, że się ledwie nie dawił.

Aż też przyszli żaki z oracyami, Boże odpuść, pełnemi baniałuk, że ich zestuchać nie można, które im ks. dominikanie nabazgrali. Głodomorzy te straszliwie się oblizowały, ale też nie na sucho odeszli. Każdy z nich dostał po całym bochnie chleba, po garnuszku praśnego miodu, po kawałku *plus minus* pół łokciowym wędzonej twardej kielbasy z gorczycą, po kromie udęca wieprzowego, opieprzone, jak Bóg przykazał. Pan Ocieski Kazmirz śmiał się jak opętany z jednego pacholiska, co był przebrany za Piłata; miał brode z konopi, a brwie nad oczyma ze mchu brzo-

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 79. Ciekawe rzeczy co o Garybaldym napiszą historycy.